

HENRYK SIENKIEWICZ

134



Z pamiętnika
poznańskiego nauczyciela

From the Desk of ...
EDWARD C. ROZANSKI, CLJ, OD, PR
DEACON, ST. HYACINTH CHURCH
5319 NORTH DELPHIA AVENUE
CHICAGO, IL 60656 U.S.A.

132527

HENRYK SIENKIEWICZ

Z PAMIĘTNIKA
POZNAŃSKIEGO
NAUCZYCIELA

NOWELA



Nr. 17.

WYDAWNICTWO „JUTRA PRACY”
W LIPPSTADT

1946.

Ze zbiorów

Mariana Janiny TRE

8/47
fr



..... Światło lampy, chociaż przyćmione, budziło mnie, i nieraz o drugiej lub trzeciej po północy widziałem Michasia, pracującego jeszcze. Mała i wątła jego postać, przorana tylko w bieliznę, schylona była nad książką, a w ciszy nocnej senny i zmęczony głos powtarzał mechanicznie konjugacye łacińskie, lub greckie z tą jednostajnością; z jaką w kościele powtarzają słowa litanii. Gdym zawołał na niego, by szedł spać, chłopiec odpowiadał mi: »Nie umiem jeszcze lekcji, panie Wawrzynekiewicz«. Odrabiałem z nim przecie zadania od czwartej do ósmej; a potem od dziewiątej do dwunastej, i sam nie szedłem do łóżka, nimem się nie przekonał, że umiem wszystko; ale doprawdy tego wszystkiego było za dużo. Skończywszy ostatnią lekcję, chłopiec zapomniał pierwszej, a konjugacye greckie, łacińskie, niemieckie i nazwy rozmaitych powiatów wprowadzały biedną jego głowę w taki zamęt, że spać nie mógł. Wylaził tedy z pod koł-

dry, zapalał lampę i zasiadał nanowo do stolika. Gdym go lajał, prosił się i płakał. Potem tak już przyzwyczaiłem się do tych nocnych siedzeń, do blasku lampki i do mrużenia konjucy, że kiedy mi ich brakło, sam spać nie mogłem. Może powinienem był nie pozwolić, by dziecko męczyło się nad siły, ale cóżem miał robić? Musiał przecie wyuczyć się codzień choć jako tako lekcyi, bo inaczej usunięto by go ze szkół, a Bóg jeden wie, coby to był za cios dla pani Maryi, która, po śmierci męża zostawszy z dwójgiem sierot, wszystkie nadzieje złożyła w Michasiu. Położenie było prawie bez wyjścia, bom z drugiej strony widział, że nadmierne wysilenia umysłowe podkopują zdrowie chłopca i mogą życiu jego zagrozić. Trzeba było przynajmniej wzmocnić go fizycznie, gimnastykować, kazać mu dużo chodzić lub jeździć konno, ale nie było czasu na to. Dziecko tyle miało do roboty, tyle do wyuczenia się na pamięć, tyle do napisania codzień, że z ręką na sumieniu powiadam: nie było czasu. Każdą chwilę potrzebną dla wesołości, zdrowia i życia chłopca, zabierała łacina, grecki i... niemiecki. Rankiem, gdym mu pakował książki do tornistra, i gdym widział, jak chude jego ramiona gięły się pod ciężarem tych

bizantyjskich tomów, serce mi się poprostu ścisnęło. Czasem prosiłem dla niego o wyrozumienie i względność, ale niemieccy profesorowie odpowiadali mi tylko, że dziecko psuje i rozpieszczam, że Michaś widocznie niedość pracuje i że beczy z lada powodu. Chory sam jestem na piersi, samotny i zgryźliwy, więc te wymówki niejedną mi chwilę zatruly. Ja najlepiej wiedziałem, czy Michaś niedość pracuje! Było to dziecko średnich zdolności, ale tak wytrwale i, przy całej słodyczy, taką obdarzone siłą charakteru, jakiej nie zdarzyło mi się spotkać w żadnym innym chłopcu. Biedny Michaś namiętnie i ślepo był przywiązany do matki, że zaś mu powiedziano, iż matka bardzo jest nieszczęśliwa, chora, i że gdy on będzie jeszcze się źle uczył, to może ją dobić — więc chłopak drżał przed tą myślą i całemi nocami siadywał nad książką, byle tylko matki nie zmartwić. Wybuchał płaczem, gdy dostał zły stopień, ale nikomu nie przychodziło do głowy, dlaczego płakał, do jakiej strasznej poczuwał się w takich chwilach odpowiedzialności. Ba! co komu było do tego? Ja go nie psulem, ani rozpieszczęzałem, tyłkom go rozumiał lepiej od innych; ztem zaś zamiast lajać go za niepowołania, starał się pocieszać, to

już moja rzecz. Sam napracowałem się w życiu niemało, nacierpiałem się głodu i biedy, nie byłem szczęśliwy, nie będę szczęśliwy i — niech tam dyabli wezmą! nawet już i zębów nie ścis-kam, gdy o tem myślę; nie wierzę, żeby było warto żyć, ale może dlatego właśnie mam prawdziwe współczucie dla każdej biedy.

Ja przynajmniej w wieku Michasia, gdym la-tał za gołębiami po ulicach, lub grywał w plisz-ki pod ratuszem, miałem swoje czasy zdro-wia i wesołości. Kaszel mnie nie męczył; gdym w skórę brał, tom płakał, póki bili; zresztą by-łem swobodny jak ptak i nie dbałem o nic. Mi-chaś i tego nawet nie miał. Życie byłoby i jego położyło na kowadło i biło młotem; tyleby więc wygrał, ileby jako malec naśmiał się serdecznie z tego, co dzieci bawi, naplatał figlów i wylatał się na otwartem powietrzu w promieniach słońca. Ale takiej zgody pracy z dzieciństwem nie mia-łem przed oczyma. Przeciwnie: widziałem dziecko idące do szkoły i wracające z niej chmurne, zgarbione pod ciężarem książek, wysiłone, ze zmarszczkami w kątach oczu, tłumiące usta-wicznie jakoby wybuch płaczu — więcem mu współczuł i chciałem być dla niego ucieczką.

Jestem sam nauczycielem, jakkolwiek pry-

watnym, i nie wiem, cobym robił na świecie, gdybym jeszcze stracił wiarę w wartość nauki i pożytek, jaki z niej płynie. Myślę tylko po-prostu, że nauka nie powinna być tragedią dla dzieci, że łacina nie może zastąpić powietrza i zdrowia, a dobry lub zły akcent nie powinien stanowić o losie i życiu maleńkich istot.

Myślę także, że pedagogia lepiej spełnia swe zadanie, gdy dziecko czuje rękę prowadzącą je łagodnie, nie zaś nogę przygniatającą mu piersi i deptającą wszystko, co go nauczono czcić i ko-chać w domu... Taki ze mnie obskurant, że pew-no już zdania w tym względzie nie zmienię, bo utwierdzam się w niem coraz bardziej, gdy sobie wspominam mojego Michasia, którego kochał tak szczerze. Od sześciu lat byłem jego nauczycielem, pierwaj jako guwerner, potem, gdy wszedł do drugiej klasy, jako korepetytor, mia-łem więc czas przywiązać się do niego. Zresztą czemu bym miał ukrywać przed samym sobą: był mi drogim, bo był synem droższej dla mnie nad wszystko istoty... Nigdy ona nie wiedziała o tem i nigdy wiedzieć nie będzie. Pamiętam, że ja jes-tem... ot sobie pan Wawrzyńkiewicz, prywatny nauczyciel, a do tego człowiek chory, ona zaś córka zamożnego domu szlacheckiego, poprostu

pani, na którąbym nie śmiał oczu podnieść. Ale że samotne serce, miotane życiem, musi w końcu przyczepić się do czegoś, jak przyczepia się muszka miotana falą — więc moje przywarło do niej. Co ja na to poradzę? a wreszcie co jej to szkodzi? Nie chcę od niej więcej światła, niż od słońca, które wiosną ogrzewa moje chore piersi. Od sześciu lat byłem w jej domu, byłem przy śniadaniu jej męża, widziałem ją nieszczęśliwą, samą, a zawsze dobrą jak anioł, kochającą dzieci, świętą prawie w swem wdowieństwie, więc... musiało do tego przyjść. Ale to nie miłość we mnie, to prędzej moja religia.

Michał bardzo przypominał matkę. Nieraz, gdy podnosił na mnie oczy, zdawało mi się, że patrzę na nią. Były to te same delikatne rysy, to samo czoło z cieniem padającym od bujnych włosów, ten sam łagodny zarys brwi, a szczególnie głos prawie jednakowy. W usposobieniu matki i dziecka była także wspólność, objawiająca się w pewnej skłonności do egzaltacji uczuć i poglądów. Należeli oboje do tego rodzaju istot nerwowych, wrażliwych, szlachetnych i kochających, które zdolne są do największych poświęceń, ale które w życiu i zetknięciu się z jego rzeczywistością mało znajdują szczęścia, dając

naprzód więcej, niż mogą otrzymać. Ten rodzaj ludzi ginie też teraz, i myślę, że jakiś dzisiejszy naturalista mógłby powiedzieć o nich, że umarli są na śmierć skazani, bo przychodzą na świat z wadą serca — za dużo kochają.

Rodzina Michasia była niegdyś bardzo zamożną, ale — za dużo kochali... więc rozmaite burze rozchwiały fortunę, a to, co zostało, nie jest wprawdzie nędzą, nie jest nawet ubóstwem, jednakże w porównaniu do dawnych czasów — miernością. Michaś był ostatnim z rodziny; to też pani Marya kochała go nietylko jak własne dziecko, ale zarazem jak wszystkie swoje nadzieje na przyszłość. Na nieszczęście, z zaślepieniem, zwykłem matkom, widziała w nim niepospolite zdolności. Chłopiec wprawdzie istotnie nie był tępym, ale należał do tego rodzaju dzieci, których zdolności, z początku średnie, rozwijają się dopiero później razem z siłami fizycznymi i zdrowiem. W innych warunkach mógłby być skończyć szkoły i uniwersytet i stać się pożytecznym pracownikiem na każdym polu. W tych, jakie istniały, męczył się tylko i, wiedząc o wysokim wyobrażeniu, jakie matka miała o jego zdolnościach, wysiłał je napróżno.

Wiele na świecie widziały oczy moje, i po-

stanowilem się nie dziwić niczemu, ale wyznaję, że z trudnością uwierzyłem, by mógł istnieć taki zamęt, w którymby dziecku na złe wyszła wytrwałość, siła charakteru i praca. Jest coś w tem niezdrowego, i gdyby mi słowa mogły zapłacić za żal i gorycz, to doprawdy powiedziałbym razem z Hamletem, że dzieją się na świecie rzeczy, o których nie śniło się filozofom...

Pracowałem z Michasiem, jakby od tych stopni, które on za postępy dostawał, moja własna przyszłość zależała. Bo też obaj z moim droгим chłopcem mieliśmy jeden cel, a to: nie zmartwić jej, pokazać dobrą cenzurę, wywołać uśmiech szczęścia na jej usta. Gdy mu się udało dostać dobry stopień, malec przychodził z klasy rozpromieniony i szczęśliwy. Zdawało mi się, że w takich razach urósł nagle, że się rozkurczał; jego chmurne zwykle oczy śmiały się wówczas tą szczerą, dziecienną wesołością i świeciły, jak dwa węgielki. Zrzucał natychmiast ze swoich wąskich pleców tornister, przeladowany książkami; mrugając na mnie, mówił jeszcze w proggu:

— Panie Wawrzynkiewicz, mama będzie kontental. Dostałem dziś z geografii... niech pan zgadnie ile?

A gdym udawał, że nie zgaduję, przybiegał

do mnie z^zypyszną minką i, zarzuciwszy mi ręce na szyję, mówił niby do ucha, ale bardzo głośno:

— Piątkę! naprawdę piątkę!

Były to dla nas obydwóch szczęśliwe chwile. Wieczorami w takie dni, Michaś rozmarzał się i, wyobrażając sobie co to będzie, jeśli dostanie wszystkie stopnie celujące, gwarzył nawpół do mnie, nawpół do siebie samego:

— Na Boże Narodzenie pojedziemy do Zalesina: śnieg będzie padał — zwyczajnie jak w zimie — więc pojedziemy sankami. Przyjedziemy w nocy, ale o! mama będzie na mnie czekała, uściska mnie, ucałuje, a potem spyta o cenzurę. Ja zrobię smutną minę naumyślnie, a tu mama czyta: Z religii: celujący; z niemieckiego: celujący; z łaciny: celujący... same celujące! O, panie Wawrzynkiewicz!

I biednemu chłopcu lzy stawały w oczach, a ja, zamiast go powstrzymywać, sam biegłem za nim zmęczoną wyobraźnią i przypominałem sobie dom w Zalesinie, jego powagę, spokój, tę wyższą, szlachetną istotę, która tam była panią, i szczęście, jakie jej sprawi powrót chłopca z celującymi w cenzurze.

Korzystałem z takich chwil i dawałem Mi-

chasiowi nauki, tłumacząc mu, że mamie chodzi bardzo o jego naukę, ale także o zdrowie, że więc nie powinien płakać, gdy go wyprowadzam na przechadzkę, sypiać tyle, ile mu każe, i nie upierać się przy nocnem siedzeniu. Rozrzewniony malec ścisnął mnie za szyję i powtarzał:

— Dobrze, mój złoty panie, będę zdrow, że aż strach, i stanę się taki duży, że ani mama, ani mała Lola mnie nie poznają.

Odbierałem też często listy od pani Maryi, polecające mi, bym czuwał nad zdrowiem dziecka, ale z rozpaczą przekonywałem się codzień, że pogodzić naukę ze zdrowiem było prawie niepodobiestwem. Gdyby przedmioty wykładane były za trudne, byłbym sobie poradził, cofnąwszy Michasia z klasy drugiej do pierwszej; ale on te przedmioty, jakkolwiek jałowe, doskonale pojmował: nie o naukę więc chodziło, tylko o czas i o ten nieszczęsny niemiecki język, którym dziecko nie władało dostatecznie. Na to już nic nie mogłem poradzić i liczyłem jedynie, że gdy święta nadejdą, odpoczynek wypełni te szczyrby w zdrowiu chłopca, które czyniła nadmierna praca.

Gdyby Michaś był dzieckiem obojętniejszem, mniejbym się troszczył o niego: ale on prawie

żywiej jeszcze odczuwał każde niepowodzenie, niż pomyślność. Chwile radości i owych *piątek*, o których wspomniałem, rzadkie były, na nie szczęście.

Tak nauczyłem się czytać w jego twarzy, że skoro tylko wszedł, od pierwszego rzutu oka poznawałem, gdy mu się nie powiodło.

— Dostałeś zły stopień? — pytałem.

— Tak jest!

— Nie umiałeś?

Czasem odpowiadał:

— Nie umiałem — częściej jednak: — Umiałem, ale nie mogłem powiedzieć.

Jakoż mały Owicki, prymus z klasy drugiej, którego naumyślnie sprowadziłem, aby się Michaś z nim uczył, mówił, że Michaś głównie dlatego dostaje złe stopnie, że się nie umie... wyjęzyczyć.

W miarę jak dziecko czuło się coraz więcej zmęczone umysłowo i fizycznie, takie niepowodzenia powtarzały się częściej. Zauważyłem, że gdy wyplakawszy się siadał następnie do lekcji, cichy bywał i niby spokojny, ale w tej zdwojonej energii, z jaką zabierał się do zadań, było coś rozpaczliwego i gorączkowego zarazem. Czasem też szedł w kąć, ścisnął głowę obu rękoma

i milczał: egzaltowany chłopiec wyobrażał sobie, że kopie grób pod nogami ukochanej matki, a nie wiedział, jak zaradzić temu, i czuł się poprostu w kole błędnem, z którego nie było wyjścia.

Jego nocne siedzenia stawały się coraz częstsze. Bojąc się, że gdy się obudzę, każę mu iść spać, wstawał cicho, pociemku, wnosił lampę do przedpokoju, tam ją zapalał i zasiadał do roboty. Nim go na tem złapałem, kilka nocy przepędził w ten sposób między nieopalonemi ścianami. Nie miałem innej rady, tylko wstać, zawołać go do pokoju i przerobić z nim raz jeszcze wszystkie lekcye, by go przekonać, że je umiał, i że niepotrzebnie narażał się na przeziębienie. Ale on już sam w końcu nie wiedział, co umiał, czego nie umiał. Dziecko straciło siły, chudło, żółkło i zasępiało się coraz bardziej. Ozasem trafiło się coś takiego, co przekonywało mnie, że nie sama jednak praca wyczerpywała jego siły. Raz, gdym wykladał mu historję, którą «Stryj synowcom opowiedział», co na żądanie pani Maryi robiłem codziennie, Michaś zerwał się z zaiskrzonymi oczyma, ja zaś przestraszyłem się prawie, ujrawszy badawczy i surowy wyraz jego twarzy, z jakim zawołał:

— Panie! więc to naprawdę nie bajka? bo...

— Bo co, Michasiu? — pytałem ze zdziwieniem.

Zamiast odpowiedzi, zacisnął zęby, a w końcu wybuchnął płaczem tak namiętnym, że długo nie mogłem go uspokoić.

Badalem Owickiego o przyczynę tego wybuchu: nie umiał lub nie chciał powiedzieć; domyśliłem się jednak sam. Nie było żadnej wątpliwości, że polskiemu dziecku trafiało się słyszeć w niemieckiej szkole wiele rzeczy, które ranily jego uczucia. Zdania takie zeslizgiwały się po innych chłopcach, nie zostawiając nic prócz niechęci do nauczycieli i całej ich rasy; ale chłopczyzna tak uczciwy jak Michaś odczuwał je boleśnie, a nie śmiał zaprzeczać. Dwie siły, dwa głosy, których słuchać jest obowiązkiem dziecka, ale które też właśnie dlatego winny być zgodne, szarpały Michasia w dwie przeciwne strony. Co jedna powaga nazywała białem, cnem, ukochanem, druga naznaczała piętnem strupieszenia i śmieszności; co jedna zwała cnotą, druga występkiem. Więc w tem rozdwojeniu chłopiec szedł za tą powagą, do której rwało mu się serce, ale musiał udawać, że słucha i bierze do serca słowa przeciwne;

musiał udawać od rana do wieczora i żyć w tym męczącym przymusie dni, tygodnie, miesiące... Co za położenie... dziecka!

Dziwny był los Michaśia. Dramaty życiowe zaczynają się zwykle później, gdy pierwsze liście spadają z drzewa młodości; — dla niego wszystko to, co składa się na nieszczęście: przymus moralny, tajona zgryzota, niepokój, daremne wysiłki, szamotanie się z trudnościami, stopniowa utrata nadziei, wszystko to poczęło się w jedenastym roku życia. Ani jego wątpa postać, ani wątpie siły nie były w stanie sprostać temu ciężarowi. Upływały dni, tygodnie, biedak podwajał wysilenia, a skutek coraz był mniejszy, coraz bardziej oplakany. Listy pani Maryi, jakkolwiek słodkie, przyrzucały jeszcze wagi do brzemia.

«Bóg cię obdarzył, Michaśiu, niezwyklei zdolnościami — pisała matka; — ufam więc, że nie zawiedziesz nadziei, jakie w tobie złożyłam, i że staniesz się krajowi i mnie pociechą».

Gdy chłopiec odebrał pierwszy raz taki list, chwycił mnie za rękę spazmatycznie i zanosząc się od płaczu, począł powtarzać:

— Co ja poradzę, panie Wawrzyńkiewicz! co ja mogę poradzić?

Istotnie cóż mógł zrobić? cóż mógł poradzić na to, że nie przyszedł na świat z wrodzoną łatwością do języków i że nie umiał się po niemiecku wyjęzyczać?

Nadeszły czasy rekreacyi na Wszystkich Świętych; cenzura kwartalna wcale była nie-szczególna; z trzech najważniejszych przedmiotów miał mierne. Na jego najsilniejsze prośby i zaklęcia, nie posłałem jej pani Maryi.

— Drogi panie! — wołał, złożywszy ręce: — mama nie wie, że na Wszystkich Świętych dają stopnie, a do Bożego Narodzenia może Pan Bóg zmiłuje się nade mną.

Biedne dziecko ludziło się nadzieją, że jeszcze te złe stopnie poprawi, a co prawda, ludziłem się i ja. Sądziłem, że wdroży się w rutynę szkolną, że przywyknie do wszystkiego, że wprawi się w język i nabierze akcentu, a przede wszystkim, że coraz mniej czasu będzie potrzebował do nauki. Gdyby nie to, dawnobym był pisał do pani Maryi i przedstawił jej stan rzeczy. Jakoż nadzieje zdawały się nie być próżne. Zaraz po Wszystkich Świętych, Michaś dostał trzy stopnie celujące, z których jeden z łaciny. Ze wszystkich uczniów w klasie sam tylko wiedział, że od *gaudeo* czas przeszły jest:

gavisus sum, a wiedział dlatego, że dostawszy poprzednio dwa celujące, pytał się mnie, jak po łacinie: «cieszę się.» Myślałem, że chłopak zwaryjuje ze szczęścia. Napisał do matki list, zaczynający się od słów:

«Mamusi najdroższa! czy ukochana moja wie, jak jest *perfectum* od *gaudeo*? pewno nie wie ani mama, ani mała Lola, bo w całej klasie ja tylko jeden wiedziałem».

Michaś poprostu ubóstwiał matkę. Od tego czasu co chwila wypytywał mnie o różne *perfecta* i *participia*. Utrzymać te celujące stało się teraz zadaniem jego życia. Ale to był krótki blask szczęścia. Wkrótce fatalny akcent polski zburzył to, co wybudowała usilność, a nadmierna liczba przedmiotów nie pozwalała dziecku poświęcać każdemu z nich tyle czasu, ile wymagała jego wysiłona pamięć. Wypadek przyczynił się jeszcze do powiększenia niepowodzeń. Michaś i Owicki zapomnieli mi powiedzieć o jednym zadaniu piśmiennem i nie oħrobili go. Owickiemu to uszło, bo jako prymusa nawet nie spytano o nie, ale Michaś dostał publiczną naganą w szkole, wraz z zagrożeniem, że zostanie usunięty.

Przypuszczono oczywiście, że utaił umyślnie

przede mną zadanie, by go nie odrobić, a chłopiec, który był niezdolny do najmniejszego kłamstwa, nie miał sposobu przekonania o swej niewinności. Mógł wprawdzie powiedzieć w swojej obronie, że i Owicki zapomniał na równi z nim, ale na to nie pozwalał honor szkolny. Na moje zaręczenia Niemcy odpowiedzieli uwagą, że zachęcam chłopca do lenistwa. Kosztowało mnie to niemało zmartwienia, ale więcej jeszcze niepokoju przyczynił mi widok Michasia. Wieczorem dnia tego widziałem go, jak ścisnąwszy głowę obu rękoma, szeptał, myśląc, że go nie słyszę: «Boli! boli! boli!» List od matki, który nadszedł nazajutrz rano, i w którym pani Marya obsypywała Michasia pieśczętami za owe celujące, był nowym dla niego ciosem.

— O, sprawię mamie ładną pociechę! — wołał, zakrywszy twarz dłońmi.

Następnego dnia, gdym mu zarzucił na plecy tornister z książkami, zatoczył się i mało nie upadł. Chciałem mu nie pozwolić iść do szkoły, ale mówił, że mu nic nie jest; prosił tylko, by go odprowadzić, bo się boi zawrotu głowy. Wrócił w południe z nowym miernym. Dostał go za lekcję, którą umiał doskonale, ale wedle tego co mówił Owicki, załakł się i nie mógł słowa

przemówić. Utwierdziła się o nim stanowczo opinia, że był to chłopiec przesiąkl «wstecznymi zasadami i instynktami», tępy i leniwy.

Z dwoma ostatnimi zarzutami, o których wiedział, walczył jak tonący z falą — rozpaczliwie, ale napróżno.

W końcu stracił wszelką wiarę w siebie, wszelką ufność we własne siły; doszedł do przekonania, że wysilki i praca nadaremna, że musi się źle uczyć, a jednocześnie przedstawiał sobie, co na to powie matka, jaki to będzie dla niej ból, jak to może podkopać jej wątłe zdrowie.

Ksiądz z Zalesina, który czasem pisywał do niego, człowiek bardzo przychylny, ale nieogłębny, każdy list kończył słowami:

«Michał tedy niech pamięta, że nie tylko radość, ale i zdrowie matki zależy od jego postępów w nauce i moralności». Pamiętał, pamiętał aż zanadto, bo nawet we śnie powtarzał zanoszonym głosem: «Mamo! mamol!» — jakby jej błagał o przebaczenie.

Ale na jawie dostawał coraz gorsze stopnie. Tymczasem Boże Narodzenie zbliżało się szybko, i do cenzury nie można się było ludzi. Napisałem do pani Maryi, chcąc ją o tem uprzedzić. Powiedziałem otwarcie i stanowczo, że

dziecko jest słabowite, a przeciążone, że mimo największej pracy nie może sobie dać rady, i że prawdopodobnie od świąt trzeba je będzie odebrać ze szkół, trzymać na wsi i przede wszystkim wzmocnić jego zdrowie. Lubo z odpowiedzi uczulem, że jej miłość własna macierzyńska została cokolwiek zraniona, jednakże odpisała jak rozumna kobieta i kochająca matka. Nie mówiłem Michasiowi nic o tym liście i zamiarach odebrania go ze szkół, bom lękał się dla niego każdego silniejszego wzruszenia; wspomniałem tylko, że cokolwiek wypadnie, matka wie, że pracuje, i potrafi jego niepowodzenia wyrozumieć. Sprawilo mu to widoczną ulgę, bo się wyplakał długo i serdecznie, co mu się od pewnego czasu już nie zdarzało. Placząc, powtarzał: «Ile ja mamie sprawiam zmartwienia». Jednakże na myśl, że wkrótce pojedzie na wies, że zobaczy matkę, i małą Lole, i Zalcin, i księdza Maszyńskiego, uśmiechał się przez łzy. Mnie także było pilno do Zalesina, bom już prawie nie mógł patrzeć na stan dziecka. Tam czekało na niego serce matki, i życzliwość ludzka, i cięcza, i uspokojenie. Tam nauka dla niego miała twarz swojską, życzliwą, nie obcą i odpycha-

jąca; tam cała atmosfera była swojska i czysta, którą dziecinne piersi mogły oddychać.

Wyglądałem więc dla niego świąt jak zba-
wienia i liczyłem na palcach chwile, które nas
od nich przedzielały, a które Michasiowi coraz
nowe przynosiły zgryzoty. Zdawało się, iż
wszystko przeciw niemu się sprzysięga. Michaś
dostał, jako *demoralizujący* innych, znów pu-
bliczną nagane. Było to już przed samemi
świętami, więc tem więcej miało znaczenia. Jak
wypadek ten odczuł dzieciak ambitny i wraź-
liwy — nie podejmuję się opisać; co za chaos
musiał wytworzyć się w jego umyśle! Rwało
się wszystko w tej dziecinnej piersi i przed
oczyma widział, zamiast światła — ciemność.
Giał się też, jak kłos pod wiatrem. W końcu
twarz tego jedenastoletniego dziecka przybrała
wyraz poprostu tragiczny; wyglądał tak, jakby
go za gardło dusił ustawicznie płacz i jakby
gwałtem wstrzymywał szlochanie; chwilami
oczy jego patrzyły, jak oczy cierpiącego ptaka;
potem opanowało go dziwne zamyślenie i sen-
ność; ruchy jego zrobiły się jakby bezwiedne,
a głos dziwnie powolny. Stał się niezwykle ci-
chy, spokojny i mechanicznie posłuszny. Gdym
mu mówił, że czas na przechadzkę, nie opierał

się jak dawniej, ale brał czapkę i szedł w mil-
czeniu. Byłbym nawet kontent, gdyby to było
zobojętnienie, alem widział, że pod jego pozorem
kryła się wyegzaltowana, bolesna rezygnacya.
Siadywał przy lekcjach, odrabiał zadania jak
i dawniej, ale więcej już z przyzwyczajenia.
Znać było, że powtarzając mechanicznie konju-
gacye, myślał o czem innem, albo raczej nie
myślał o niczem. Raz, gdym się go spytał, czy
już skończył wszystko, odpowiedział mi swoim
powolnym głosem i jakby sennie: «Ja myślę,
panie, że się to na nic nie zdało». Bałem się
wspomnieć nawet przy nim o matce, by nie
przepelniać tego kielicha goryczy, z którego
piły jego dziecinne wargi.

Coraz bardziej także niepokoilem się o jego
zdrowie, bo mizerniał ciągle i w końcu stał się
prawie przezroczystry. Siatka delikatnych żyłek,
która dawniej ukazywała mu się na skroniach,
gdy się ożywił bardzo, uwidoczniła się teraz
stale. Wypiękniał tak, że zrobił się prawie po-
dobny do jakiegoś obrazu. Żał było patrzeć na
tę główkę dziecinną, nawpół anielską, która
sprawiała wrażenie wędnącego kwiatu. Na po-
zór niby nic mu nie było, ale niknął i tracił
siły. Nie mógł już udźwignąć wszystkich ksią-

żek w tornistrze, więc wkładałem mu tylko niektóre, resztę sam nosiłem, bom teraz codziennie prowadził go i odprowadzał ze szkoły.

Święta wreszcie nadeszły. Konie z Zalesina czekały od dwóch dni, a list pani Maryi, który przyszedł wraz z nimi, zapowiadał, iż nas tam wszyscy wyglądają z niecierpliwością. «Słyszałam, że ci, Michasiu, ciężko idzie — kończyła pani Marya; — nie spodziewam się już celujących, chciałabym tylko, by i nauczyciele twoi myśleli tak, jak ja, że uczyniłeś wszystko, co było w twej mocy, i że dobrem sprawowaniem starałeś się wynagrodzić niedostateczne postępy».

Ale nauczyciele myśleli inaczej pod każdym względem, więc cenzura zawiodła i to oczekiwanie. Ostatnia publiczna nagana tyczyła się wprost sprawowania chłopca, o którym pani Marya miała także odmienne pojęcie. W opinii niemieckich profesorów to tylko dziecko dobrze się sprawiało, które płaciło śmiechem za ich drwiny z «polskiego zacofania», języka i tradycyi. Skutkiem takich pojęć etycznych, Michaś, jako niedający widoków, by mógł na przyszłość słuchać z korzyścią wykładów, a zabierający napróżno miejsce innym, został usunięty ze szkoły. Przyniósł ten wyrok wiecz-

rem. W mieszkaniu było już prawie ciemno, bo śnieg bardzo obfity padał na dworzę, więcem nie mógł dojrzeć twarzy dziecka. Widziałem tylko, że poszedł do okna, stanął w niem i bezmyślnie w milczeniu patrzył na płatki śnieżne, kręcące się w powietrzu. Nie zazdrościłem biedactwu myśli, które naksztalt tych płatków musiały mu tam kręcić się po głowie, ale wołałem z nim nie mówić o cenzurze i wyroku. W ten sposób upłynął nam z kwadrans w przykrem milczeniu, a tymczasem zciemniło się prawie zupełnie. Zabrałem się do układania rzeczy w kuferek, widząc zaś, że Michaś stoi ciągle przy oknie, rzekłem wreszcie:

— Co tam robisz, Michasiu?

— Prawda, — odparł głosem, który dygotał i zatrzymywał się na każdej sylabie — że mama siedzi teraz z Lolą w zielonym gabinecie przed ogniem i myśli o mnie?

— Być może. Czemu ci tak głos drży? czyś nie chory?

— Nic mi nie jest, panie, tylko mi bardzo zimno.

Rozebrałem go i położyłem natychmiast do łóżka, a rozbierając go, patrzyłem z litością na jego wychudzone kolana i ręce tak cienkie, jak

zdźbła trzciny. Kazałem mu napić się herbaty i okryłem, czem było można.

— Ciepłej ci teraz?

— O tak! głowa mnie trochę boli.

Biedna głowa, miała od czego rozboleć. Zmęczone dziecko usnęło wkrótce i oddychało pracowicie przez sen swemi wązkiemi pierściami, ja zaś skończyłem pakować jego i swoje rzeczy; potem, że także czulem się niezdrów, położyłem się zaraz. Zdmuchnąwszy świecę, usnąłem prawie w tej samej chwili.

Koło trzeciej po północy obudziło mnie światło i jednostajne, dobrze mi znane mruczenie. Otworzyłem oczy, i serce mi zabilo niespokojnie. Na stole paliła się lampa, przed stolikiem zaś nad książką siedział Michaś w jednej koszuli: policzki jego pałały, oczy były przymknięte jakby dla lepszego natężenia pamięci, głowa trochę w tył pochylona, senny zaś głos powtarzał:

— *Conjunctivus: Amem, ames, amet, amemus, ametis...*

— Michasiu!

— *Conjunctivus: Amem, ames...*

Szarpnąłem go za ramię:

— Michasiu!

Rozbudził się i począł mrugać oczyma ze

zdziwieniem, patrząc na mnie, jakby mnie nie poznał.

— Co ty robisz? co tobie, dziecko?

— Panie — odrzekł, uśmiechając się: — powtarzam wszystko od początku; muszę jutro dostać celujący...

Porwałem go na ręce i zaniósłem do łóżka; ciało jego parzyło mnie, jak ogniem. Na szczęście, doktor mieszkał w tym samym domu, sprawdziłem go więc natychmiast. Nie potrzebował się długo nanyślać. Chwilę potrzymał puls dziecka, potem rękę położył mu na czole: Michaś miał zapalenie mózgu.

Ach! wiele rzeczy nie mogło mu się widocznie w głowie pomieścić.

Choroba przybrała szybko zatrważające rozmiary. Posłałem depezę do pani Maryi, i na drugi dzień dzwonek, targnięty gwałtownie w przedpokoju, zwiastował mi jej przybycie. Jakoż, otworzywszy drzwi, ujrzałem ją bladą pod czarnym kwefem, jak płótno; palce jej z niezwykłą siłą wsparły się na mojem ramieniu, i cała dusza wybiegła do oczu, utkwionych we mnie, gdy spytała krótko:

— Żyje?

— Tak. Doktor mówił, że jest lepiej.

Odrzuciła woal, na którym osiadł szron oddechu, i wbiegła do pokoju dziecka. Kłamałem. Michaś żył wprawdzie, ale nie było mu lepiej. Nie poznał nawet matki, gdy siadła przy nim i wzięła go za ręce. Dopiero gdym mu na głowie położył świeży lód, począł mrużyć powieki i usilnie wpatrywać się w schyloną nad nim twarz. Myśl jego nateżała się widocznie, walcząc z gorączką i obłędem, usta drgały, uśmiechnął się raz i drugi, a w końcu wargi jego wyszep-tały:

— Mama!..

Ona chwyciła go za obie ręce i przesiadła tak przy nim kilka godzin, nie zrzuciwszy nawet podróżnego ubrania. Dopiero, gdym zwrócił na to jej uwagę, rzekła:

— Prawda. Zapomniałam zdjąć kapelusz.

Gdy go zdjęła, serce ścisnęło mi się dziwnem uczuciem: oto między blond włosami, zdo-bięcymi tę młodą, piękną głowę, świtały gęsto srebrne nitki. Trzy dni temu może ich tam nie było jeszcze.

Zmieniała teraz sama okłady chłopcu i po-dawała lekarstwo. Michaś wodził za nią oczy-ma, gdziekolwiek się ruszyła, ale znowu jej nie poznawał. Wieczorem gorączka zwiększyła się.

Deklamował w malignie dumę o Żółkiewskim ze śpiewów Niemcewicza, chwilami przemawiał w języku wykładowym, to znów odmieniał rozmaite słowa łacińskie. Wychodziłem co chwila z pokoju, bom nie mógł tego słuchać. Gdy był jeszcze zdrów, uczył się w sekrecie ministran-tury, chcąc matce za przyjazdem na wieś sprawić niespodziankę — i teraz dreszcz mnie przejmował, gdym w ciszy wieczornej słyszał to dziecko jedenastoletnie, powtarzające przed śmiercią jednostajnym, gasnącym głosem: *Deus meus, quare me repulisti et quare tristis incedo, dum affi-git me inimicus!*

Nie umiem powiedzieć, jakie tragiczne wra-żenie robiły te słowa. Była to wigilia Bożego Narodzenia. Z ulicy dochodził gwar ludzki i brzęczenie dzwonek przy sankach. Miasto przybierało powierzchność świąteczną i ra-dosną. Gdy się zciemniło zupełnie, przez okna na drugiej stronie ulicy widać było choinkę ja-rzącą się od świeczek, pozawieszaną złotymi i srebrnymi błyszczącymi orzechami, a naokoło niej główki dziecinne jasne i ciemne, z lokami rozwianymi w powietrzu, skaczące jak na sprężynach. Okna pały od światła, a całe wnętrze rozlegało się od krzyków radości i zdziwienia.

Między głosami dochodzącymi z ulicy nie było innych tylko wesole, i radość stawała się ogólną; tylko jeden nasz malec powtarzał, jakby z żalnością wielką: *Deus meus, Deus meus, quare me repulisti?* Pod bramą zatrzymali się chłopcy z szopką, i wkrótce doszedł nas ich śpiew: »W żłobie leży, któż pobieży!« Noc Narodzenia zbliżała się, a myśmy drżeli, by to nie była noc śmierci.

Przez chwilę zdawało nam się jednak, że chłopiec oprzytomniał, bo zaczął wołać Loli i matki, ale to krótko trwało. Szybki jego oddech czasem ustawał zupełnie. Nie było się co ludzi! Ta mała dusza była już nawpół tylko między nami. Umysł jego już odleciał, a teraz on sam już odchodził w jakąś ciemną dalekość i nieskończoność, i nie widział już nikogo i nie czuł nic, nawet głowy matki, która leżała jak martwa na jego nogach. Zobojętniał nie oglądał się już na nas. Każdy oddech jego piersi oddalał go i jakby zasuwiał w mrok. Choroba gasiła po kolei iskierkę po iskierce życia. Ręce dziecka, leżące na koldrze, rysowały się już na niej z tą ciężką, bezwładnością rzeczy martwych; nos jego zaostrzał się, a twarz nabierała jakiejś chłodnej powagi. Oddech coraz był

szybszy, a w końcu stał się podobny do szeptu zegarka. Chwila jeszcze, jedno westchnienie i ostatnie ziarnko piasku miało się zsytać z klepsydry: miał być koniec.

Koło północy zdawało nam się stanowczo, że już kona, bo zaczął chrapać i jęczeć, jak człowiek, któremu usta zalewa woda, a potem zamilkł nagle. Ale lusterko, które przyłożył mu doktor do ust, przesłaniało się jeszcze mgłą oddechu. W godzinę później gorączka zmniejszyła się nagle: myśleliśmy wszyscy, że już uratowany. Sam doktor miał niejaką nadzieję. Biednej pani Maryi zrobiło się słabo.

W ciągu dwóch godzin coraz mu było lepiej. Nad ranem, że to już czwartą noc spędzałem przy malcu bezsennie i że kaszel dusił mnie coraz mocniej, wyszedłem do przedpokoju i, położywszy się na sienniku, usnąłem. Obudził mnie głos pani Maryi. Myślałem, że mnie woła, ale w ciszy nocnej usłyszałem wyraźnie: «Michasiu! Michasiu!» Włosy mi na głowie powstały, gdym zrozumiał ten straszny akcent, z jakim wołała na dziecko; nim jednak się zerwałem, wbiegła sama do przedpokoju, ogarniając ręką świecę, i dygoczącymi wargami wyszeptła:

— Michaś... umarł!

Pobiegłem co tchu do łóżka chłopca. Tak jest. Osadzenie głowy w poduszce, otwarte usta, oczy wbite nieruchomie w jeden punkt i steżalność wszystkich rysów nie zostawiały najmniejszej wątpliwości: Michaś umarł.

Nakryłem go koldrą, którą matka, zrywając się z łóżka, zsunęła z jego wychudłych zwłok, i zamknąłem mu oczy, a potem musiałem długo cucić panią Maryę. Pierwszy dzień świąt zszedł mi na przygotowaniach do pogrzebu, które były dla mnie straszne, bo ona nie chciała odstąpić zwłok, a ciągle jej sił brakło. Zemdlala, gdy ludzie przyszli brać miarę na trumnę, potem gdy zaczęto ubierać ciało, nakoniec gdy ustawiano katafalk. Rozpacz jej stykała się co chwila z obojętnością służby pogrzebowej, przywykłej do takich widoków, i przechodziła prawie w obłąd. Sama układała heblowiny w trumnie pod atłasem, bredząc jak w gorączce, że dziecko będzie miało głowę za nisko. A Michaś leżał tymczasem na łóżku, ubrany już w nowy mundur i białe rękawiczki, sztywny, obojętny i pogodny. Włożyliśmy w końcu ciało do trumny i ustawili na katafalku, a nackoło dwa rzędy świec. Pokój, w którym biedne dziecko tyle się naodmieniało słów łacińskich i naodrabiło zaduń,

zmienił się jakby w kaplicę, bo zamknięta okiennica nie puszczała światła dziennego, a żółty migotliwy blask świec nadawał ścianom pozór jakiś kościelny i uroczysty. Nigdy też, od czasu jak dostał ostatnie celujące, nie widziałem u Michasia twarzy tak rozpogodzonej. Delikatny jego profil, zwrócony do sufitu, uśmiechał się łagodnie, jakby chłopiec w tej wieczystej reakcyi śmierci upodobał sobie i czuł się szczęśliwym. Migotania świec nadawały twarzy jego i temu uśmiechowi pozory życia i snu. Powoli chłopcy, koledzy jego, którzy nie powyjeżdżali na święta, poczęli się schodzić.

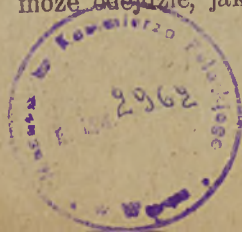
Oczy dzieci rozszerzały się ze zdziwieniem na widok świec, katafalku i trumny. Może te małe mundurki dziwiła powaga i rola kolegi. Oto niedawno był jeszcze między nimi, zginał się jak i oni pod ciężarem tornistra, przeladowanego niemieckimi książkami, dostawał złe stopnie, odbierał połajania i nagany publiczne, każdy z nich mógł go pociągnąć za włosy lub ucho; a teraz leżał taki wyższy od nich, uroczysty, spokojny, otoczony światłem; wszyscy zbliżali się do niego z szacunkiem i pewną trwogą — i nawet Owicki, choć prymus, niewiele wobec niego znaczył. Chłopcy, trącając

się lokciami, szeptali sobie, że teraz on już o nic nie dba, że gdyby nawet «Herr Inspektor» przyszedł, to onby się już nie zerwał, nie przestraszył, ale uśmiechałby się tak samo spokojnie — że on tam zupełnie, zupełnie może robić co mu się podoba, hałasować jak zechce i mów do małych aniołków ze skrzydełkami pod szyją.

Tak szepcąc, zbliżali się do szeregu świateł i odmawiali wieczny odpoczynek Michasiowi...

Następnego dnia przykryto trumnę wiekiem, umocowano ją gwoździami i powieszono na cmentarzu, gdzie grudki piasku, pomieszane ze śniegiem, wkrótce ją skryły przed memi oczyma... na zawsze.

Dziś, gdy to piszę, upłynęło już od tego czasu blisko rok, ale pamiętam cię i żal mi ciebie, mój mały Michasiu, mój kwiatku zawczasie uwiedły! Nie wiem, gdzie jesteś, czy mnie słyszysz, wiem tylko, że twój dawny nauczyciel kaszle coraz więcej, że mu coraz ciężiej, samotniej, wkrótce może odejdzie, jak ty odszedłeś...



WYDAWNICTWA "JUTRA PRACY"

w Lippstadt

- A. STAŁE:** RM
1. „JUTRO PRACY“ — tygodnik 0,50
 2. „MŁODY POLAK“ —
czasopismo dla młodzieży szk. 1,—
 3. „PROMYCYZEK SZCZĘŚCIA“
czasopismo dla dzieci 1,—
- B. JEDNORAZOWE:**
1. „MUCHA“ — broszura humorystyczna
(wyczerpana) 1,20
 2. „BOMBA ATOMOWA“ — (wyczerpana) 2,50
 3. „ŁATARNIK“ — H. Sienkiewicza 1,20
 4. „SNIEŻKA“ — Braci Grimm, багато ilustrowana bajka dla dzieci (gruby druk) 5,—
 5. „SIENKIEWICZ NA WESOŁO“ — wesołe wyjątki z „Trylogii“ H. Sienkiewicza 2,50
 6. „DZIEJE POLSKI“ — E. Mielcarka skrypt powielany (Dim A 4) 5,—
 7. „120 PRZYGÓD KOZIOŁKA MATOŁKA“ —
 8. „ANTEK“ — Bolesława Prusa 3,—
 9. „OMYŁKA“ — Bolesława Prusa 6,—
 10. „SŁACZKA“ — S. Żeromskiego 2,—
 11. „DROBIAZGI“ —
(nowele Prusa i Konopnickiej) 2,20
 12. „NAWRÓCONY“ — Bolesława Prusa 2,20
 13. „JAŚ SOWIZDRZAŁ“ — Artura Oppmanna 5,—
 14. „SEN“ — Bolesława Prusa 2,—
 15. „KSIĄDZ PIOTR“ — Kazimierza Tetmajera 1,80
 16. „PĘDZIWIATR“ — Zygmunta Nowakowskiego 3,50
 17. „Z PAMIĘTNIKA POZNAŃSKIEGO NAUCZY-
CIELA“ — Henryka Sienkiewicza 2,20

Nasz adres dla zamówień:

„Jutro Pracy“ in (21b) Lippstadt, Brüning-Str. 52 5

Wysyłamy do stręby brytyjskiej za zaliczeniem pocztowym.

Mieszkanie każdego Polaka winny zdobyć wydane przez nas:

- a) Godło Państwowe 2,50
- b) Portret gen. Sikorskiego 2,—
- c) Portret gen. Andersa 2,—

